

Bartoszewicz, Julian

Z notatnika pamiętniczego Juliana Bartoszewicza. Część II: Od wydawcy

Przegląd Historyczny 14/3, 385-406

1912

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych, tworzonej przez Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został opracowany do udostępnienia w Internecie dzięki wsparciu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach dofinansowania działalności upowszechniającej naukę.

Z notatnika pamiętniczego Juljana Bartoszewicza

(Dokończenie).

CZĘŚĆ II.

Od wydawcy.

Dalsza część Pamiętnika Juljana Bartoszewicza z r. 1845 i 1846 jest wyłączenie „dziejami serca“. Nagle się urywa Pamiętnik w październiku 1846 r. — i dopiero 7 listopada 1847 zaczyna go autor pisać na nowo. Kontynuacyi tej daje osobny tytuł: „Rok wygnania w Końskich 1847 — 1848“. Należy więc objaśnić, skąd powstał ten tytuł, co było powodem owego „wygnania“.

W r. 1846 w „Dzienniku Ministerstwa Oświecenia Narodowego“ pomieścił N. Jelagin artykuł historyczny p. t. „Helena Iwanówna“. Było to „dokładne ocenienie wypadków i krytyczny pogląd na życie księżniczki“, która, wyszedłszy za Aleksandra Jagiellończyka, stała się wielką księżną litewską i królową polską. Juljanowi Bartoszewiczowi, po przeczytaniu tej rozprawy, zdawało się, że „Jelagin pracę swoją, niepoślednich zresztą zalet, wykonał bez życia“. Chciał go więc „zastąpić w tym względzie“, choćby dlatego, że „my większe prawo mamy do Heleny“. Zebrał więc wszystko, co się dało wyszukać o Helenie w Strykowskiem i Kojalowiczu, Karamzinie i Narbucie, w aktach Komisji Archeologicznej w Petersburgu, zajrzał do Stebelskiego, do zbioru pamiętników Niemcewicza i t. d., a z poszukiwań tych urosła „obszerna wiadomość o życiu Heleny Iwanówny“, którą oddał do druku *Bibliotece Warszawskiej*. Po „odpowiednich przeróbkach“ cenzora artykuł został wydrukowany w jednym z zeszytów Biblioteki z r. 1847. Został wydrukowany — ale nie ujrzał światła dziennego aż do roku 1880, kiedy się ukazał w zbiorowem wydaniu dzieł historyka.

Co się stało? Oto artykuł o Helenie, przed wypuszczeniem zeszytu *Biblioteki*, dostał się do rąk jakiegoś innego stróża porządku publicznego, a może do rąk samego pana prezesa Komitetu cenzury, wiceprezesa Rady wychowania publicznego, rzecz. radcy stanu Pawła Muchanowa. Kto zresztą w tym wypadku odegrał rolę „wietrzącego bunt“ Nowosilcowa — nie wiadomo; dość, że taki Nowosilcow się znalazł. Znalazł się i zadzwonił na alarm. Artykuł został uznany za nie-

bezpieczny. Redakcyi *Biblioteki* kazano zniszczyć cały nakład, zagrożono jej nawet zamknięciem miesięcznika, cenzor otrzymał „wygovor“, a zbrodniarza autora postanowiono uczynić nieszkodliwym.

W pierwszej chwili chciano mu udzielić dymisy i w tym celu, dla zachowania pozorów, zażądano od Józefa Korzeniowskiego, niedawno mianowanego dyrektorem gimnazjum Kazimierowskiego, aby wystawił Bartoszewiczowi niepoehlebne świadectwo, jako nauczycielowi, i zażądał usunięcia go ze stanowiska. Korzeniowski miał dostarczyć żądanego dokumentu¹⁾.

Wyrok złagodziły dopiero usilne starania ojca autora, inspektora w szkole przy ulicy Freta i gorąca protekcya W. A. Maciejowskiego, który, uważany przez Rosyan za największą naukową wielkość słowiańską, miał łaski u rządu, wielkie stosunki i silny wpływ na ówczesnych wielkorządców: Okuniewa i Muchanowa. Skończyło się natem, że Bartoszewicza zdegradowano i przeniesiono z gimnazjum warszawskiego do progimnazjum na odludnej prowincyi, a mianowicie do Końskich, przez co odsunięto go od bibliotek i archiwów, aby dalej nie zajmował się takim „bestyjstwem“, jak historia Polski (wyrażenie Muchanowa z czasów późniejszych). Jednocześnie zabroniono przez pewien czas pismom warszawskim umieszczać artykułów Bartoszewicza, który z tego powodu zaczął się podpisywać pseudonimem: Lemnicki.

O co szło? w czem leżała wina młodego historyka? trudno dzisiejszym rozumem wytłumaczyć. Ale w czasach, o których mowa, umiano zawsze winę znaleźć. W artykule o Helenie nie było wprawdzie nic niecenzuralnego (nalepszy dowód, że go cenzor przepuścił), ale sama myśl napisania takiego artykułu już była zbrodnią. Córka w. ks. moskiewskiego (Iwana III Wasilewicza) królową polską, mąż nie zmusza jej do porzucenia wiary, ona sama w swych listach pisze, że jej dobrze w Wilnie i ciągnął ją żal do ojca, że „napada na ziemie litewskie, że rozlewa krew chrześcijańską, robi żony wdowami, dzieci sierotami“— że, w ślad za jego wojskiem, idzie „niewola, zabieranie i palenie grodów, krzyk, płacz, jęk...“ Mąż ją „trzyma po wsze lata w cześci, dostatku i kochaniu... nie odmawia jej żadnej łaski, żadnej prośby, dając zupełną wolność w zakonie swoim, pozwalając swoją wiarę zachowywać i do cerkwi świętych chodzić, świąszczeni i popy, dyakony i śpiewaków na dworze mieć...“ Czyni to zaś, chcąc dane ojcu Heleny „słowo dotrzymać“, pamiętając, że „krzyż całował“. A ojciec co czyni? jak dopełnia danej przysięgi? Króle i książęta chrześcijańscy dziwią się temu „obyczajowi“ hosudara. „Lepiejby mi było pod nogami twojemi, hosudara ojca (pisze z „płaczem“ Helena) w swojej ziemi umierać aniżeli taką sławę słyszeć o tobie...“

1) Fakt ten podaję na podstawie relacyi W. A. Maciejowskiego i Cezarego Biernackiego, przyjaciela ojca. Bez ich wyjaśnienia trudno byłoby zrozumieć ustęp w Pamiętniku o Korzeniowskim. Sprawiedliwość jednak każe zauważyć, że mówiłem z nim i o tej sprawie w kilka lat po śmierci ojca, a więc w lat 30 po aferze o Helenę Iwanównę. Może więc ów „dokument“ Korzeniowskiego był mniej rażący, niż się po latach przedstawiał. Co więcej, później wyrównały się stosunki między Korzeniowskim, a moim ojcem, czego mam liczne dowody. K. B.

Mogła tak Helena pisać, mogły być te listy wydrukowane w aktach petersburskiej rządowej Komisji Archeograficznej, ale nie wolno było historykowi polskiemu takich buntowniczych dokumentów ogłaszać drukiem w Warszawie. Co więcej, Bartoszewicz poważił się zbijać kłamliwe podania o nniemanem prześladowaniu Heleny po śmierci Aleksandra, poważił się przeprowadzić zlekka porównanie między dwiema cywilizacyami, ośmielił się twierdzić, że Iwan „pożalował córce posagu, wysłał ją ubogą ze swoimi bojarami do Litwy“. Jednem słowem młody historyk był przesiąknięty „duchem buntowniczym“, był narzędziem „polskiej intrygi“. I jak go za to nie miała spotkać kara za służona?

Przeniesienie do Końskich na posadę nanczyciela w szkole powiatowej z pensją roczną 1000 złp. (wyraźnie tysiąc złotych polskich) stanowiło w jego życiu „nową erę“, jak to sam nazywa. Pamiętnik od tej chwili składa się z dwóch części głównie: z opisu wycieczek do Warszawy, dających nam poznać ówczesne stosunki literackie i „z powieści o sercu dobrego człowieka“, jak nazwała *Biesiada literacka* umieszczone przez nią ustępy z Pamiętnika, będące dziejami miłości spokojnej, sielankowej, która doprowadziła historyka do ołtarza. Ustępy te opuszczam, jako już drukowane, osobną zresztą stanowiącą całość.

K. B.

Rok wygnania w Końskich 1847 — 1848.

Dnia 7 listopada 1847. Od roku przeszło, jak ustał mój Dziennik, który prowadziłem lat kilka. Zdaje mi się, że ostatni raz zapisałem w nim 13 października parę wspomnień z mojej przeszłości... Dziś nawet nie jestem w stanie dat sprawdzić, bo ja na wygnaniu w Końskich, a Dziennik mój u rodziców w Warszawie.

Od pierwszej chwili przyjazdu mojego tutaj, postanowiłem wznowić Dziennik i dopiero dzisiaj w skutek zamieniam myśl dawną. Dzień za dniem upływał. Nie chciałem, żeby ślad wspomnień zaginał, bo i tak dużo już przez rok cały straciłem myśli—przemknęło się już i tak wiele zdarzeń mojego życia nie zanotowanych, nie ujętych piórem; postaram się potem zaczerpnąć z pamięci, ułożyć daty upłynionego roku, daty ważne dla mnie, aby do Dziennika mojego, dla pamiątki na late stare, ułożyć szkic z mojej przeszłości w roku ubiegłym, szkic tylko, bo myśli, które towarzyszyły mi w różnych chwilach, bezpowrotnie zagłębiły się w otchłań czasu. Rok zeszyły był jednak dla mnie bardzo obfity w wypadki...

Nowa era zaczyna się dla mnie d. 14 sierpnia r. b. Ledwie z gimnazjum wróciłem do domu, przybiegł woźny i kazał się stawić przed kuratorem ¹⁾. U kuratora był Pawliszczew ²⁾. Po konferencji przeszło półgodzinnej wróciłem do domu dość wesoły, bo p. Jenerał oświadczył, że pojedę na prowincję do szkoły powiatowej. Cieszyłem się, bom są-

¹⁾ Był nim gen. Mikołaj Okuniew.

²⁾ Członek Rady wychowania, pomocnik nacz. prokuratora w ogólnych zebraniach warsz. depart. Rządzącego Senatu.

dził, że dostanę dymisyę. Ale smutek ścisnął serce. Po obiedzie jeździłem z Ojcem do Bagateli do Muchanowa, bo on mnie wprzód wzywał do siebie przed kilku tygodniami i był dość względny. Ale p. Muchanow umył ręce od wszystkiego.

15 sierpnia, niedziela. Matka z Klementyną¹⁾ jeździły do ogrodu Botanicznego do Okuniewa. Odpowiedział jej: „Bitten sie nicht, bitten sie nicht — auf keinen Fahl, auf keinen Fahl!“ — Matka znów jeździła do Pawliszczewa. I tu nic.—Więc postanowiłem nie uniażać się więcej.

17 sierpnia. Odebrałem wezwanie, żebym jechał do Końskich. P. Jenerał listy nauczycielskie podpisał 16 sierpnia. Był tak łaskaw p. Jenerał, że sam szukał mi miejsca: naprzód w Mławie, potem w Białej, potem w Wieluniu, nareszcie wysłał do Końskich. Chciał mnie oddać pod Smacznińskiego albo Rklickiego. Ucieszyłem się trochę, że do Końskich. Znałem to miejsce, kiedym jechał do Częstochowy; w r. 1837 byłem w tem miasteczku. Przyzwyczailem się do myśli, że pojedę do Mławy,—dlatego Końskie rajem mi się wydało przez sam wzgląd, że tam mieszkali Małachowscy... Odzyskałem spokojność — bo dotąd rozpacz moja była okropna. Traciłem razem stosunki familijne, przyjacielskie i literackie.

20 sierpnia. Biegałem do ogrodu Krasińskiego. Ludzi moc. Stroje piękne. Rajczak grał u Haberbanta. Dnie piękne, pełno lwic i lwów — pełno baletnic. Spotkałem się z Lesznowskim²⁾. Szedł od Le Bruna w mojej sprawie. Przyniósł mi dobre nowiny. Le Brunowie ubolewali nademną. Podług rady Lesznowskiego pobiegłem do nich także. Sam radca obiecał mi wszelką pomoc, ale dopiero na przyszłość. Sympatyj zyskałem tyle wszędzie, żem się tego ani spodziewał. Wszyscy mnie teraz znali w Warszawie.

Nie notuję wszystkiego, bo wszystkiego nie pamiętam: pożegnania z Le Brunami, wizyt u Wilkońskiego, Lesznowskiego, Skimborowicza. Wszędziem znalazł serce i dobre życzenie.

28 sierpnia. Byłem u Lesznowskiego, tu widziałem się z Korzeniowskim i przymówiłem mu. Panu Wittemu zaś powiedziałem wszystko, com tylko miał na sercu³⁾. Niech wie pan Korzeniowski, ...że są ludzie w Warszawie, co mu prawdę całą powiedzą, nie obwijając jej w bawelnę. Lesznowski był bardzo kontent, żem się tak popisał. Potem pobiegłem do Wilkońskiego, bo to jego imieniny. Dość miał gości. Po obiedzie byłem na Saskiej Kępie .. a prosto ztamtąd poszedłem znów do Wilkońskiego, bo mnie prosił. W jednym salonie damy były, w drugim mężczyźni. Skreśliłbym obraz ich, boć to może kiedyś interes mieć będzie. Ale wrażeń wiele znikło już. Widziałem się tam z Wójcickim, u którego obiecałem być nazajutrz. Wróciłbym do domu koło 12-tej,

¹⁾ Siostra autora pamiętnika.

²⁾ Tomasz Le Brun, sekretarz stanu przy Radzie administracyjnej Królestwa Polskiego

³⁾ Redaktor Gazety Warszawskiej.

⁴⁾ Karol Witte, dziennikarz, zostający w bliższych stosunkach z Korzeniowskim, później zięć jego.

ale wziął nas do siebie Chałubiński, to jest mnie, Włodzimierza Wolskiego i Szymanowskiego. Śpiewaliśmy tam, grali, deklamowali. Włodek śpiewał z „Górali“ swojej arye, które napisał Moniuszko¹⁾). Moniuszkę rano poznałem u Wilkońskiego Od duszy, od serca, zazdrościłem warszawianom, że będą słyszeć „Góralkę“, która w końcu września miała być graną. O 3 rano wróciłem do domu.

29 sierpnia. Pożegnałem się z Wójcickim. Mówiliśmy dużo o Encyklopedyi polskiej, którą chce ze mną założyć. Obiecałem mu z Końskich przysłać życie kardynała Fryderyka Jagiellończyka. Spotkał mnie jeszcze raz na ulicy, prosił o artykuł dla kalendarzyka politycznego. Obiecałem także.

Miała zemną jechać do Końskich moja kochana matka z Józunią²⁾). Od dnia do dnia wybieraliśmy się—i ciąglem zwłóczył. Józunię chciałem mieć przy sobie ciągle—ale mi matka wyperswadowała. Narzeczcie postanowiliśmy ostatecznie wyjechać we wtorek 31 sierpnia.

Pożegnałem się z Le Brunem w piątek 27 sierpnia. Radca ponowił jeszcze swoje dla mnie obietnice i starać się ze mną przyrzekł. Pani Le Brun zapraszała mnie za każdym razem jak będę w Warszawie, żebym ich odwiedził. Nie zapomnę ich nigdy, tyłem spotkał u nich współczucia. Rozplakałem się.

31 sierpnia. O 11-tej wyjechaliśmy koleją: ja, matka i Józunią. Nocowaliśmy w Piotrkowie. Odwiedziliśmy Horoszewiczów—a ja byłem jeszcze u inspektora Olszańkiego.

1 września. Po mszy studenckiej i widzeniu się ze Smacznińskim³⁾) wyjechałem do Końskich. Stałem tu o 5 po południu, w domu zajezdnym u Świtalskiej na rynku. Romek Górecki przybiegł i wieczór spędziliśmy u nich.

2 września. Byliśmy u Bazylewiczów na obiedzie⁴⁾).

3 września. U Góreckich na obiedzie. Przeniosłem się na górę do Zielińskiego, który mieszkał w domu u Świtalskiej — razem zemną matka i siostra.

4 września. Byłem pierwszy raz w szkole. Cały skład nauczycielski był w r. 1847/8 następujący:

1) Inspektor, w miejsce wychodzącego Bazylewicza, Gustaw Reichart z Sieradza, — który od lat 17 bawi w Polsce, a był przedtem gubernierem Instytut. pedagog. w Petersburgu.

2) X. Józef Szpaderski—do religii.

3) Gustaw Jellachich—do języka rosyjskiego.

4) Wincenty Kossowski—do języka łacińskiego.

5) Aleksander Zieliński—do języka polskiego.

6) Romuald Górecki—do matematyki.

7) Juljan Bartoszewicz—do historii i geografii.

1) „Góralka“, pierwotny tytuł Halki.

2) Druga młodsza siostra autora.

3) Smaczniński Wincenty, dyrektor gimn. gubern. w Piotrkowie, głośny filolog, tłumacz Sofoklesa.

4) Andrzej Bazylewicz dyrektor szkoły pow. w Końskich. Żona jego, Rychterówna z domu, rezydentka Małachowskich, zmarła w Końskich doczekawszy 105 lat życia.

8) Stanisław Dylewski—do kaligrafii i rysunków.

9) Ferdynand Ernst—do języka niemieckiego¹⁾.

Spadłem nisko — bo niżej być już nie mogłem.

9 *września*. Wyjechała matka z Józją do Piotrkowa. Dzień dla mnie bardzo smutny.

14 *września*. Pierwsza wizyta u Małachowskiego kasztelana. Zaprowadził mnie Bazylewicz. Wyzначzył mi p. hrabia dzień poniedziałkowy (13 wrześ. rano) a potem wtorkowy po obiedzie... wieczorem tego dnia byłem u niego. Powróciwszy, dowiedziałem się, że Reichart przyjechał.

18—25 *września*. Jubileusz, rozpoczęcie w sobotę. W poniedziałek poznałem Kazię Zapałowską w kościele...²⁾. Nawróciłem się w czasie jubileuszu i przystępowałem do spowiedzi, komunii i sakramentu bierzmowania, prawie obok Kazi. Dostałem imiona Władysława Kazimierza. Były to imiona synów Jagiełły—na cześć ich pamięci to uczyniłem.

Dyrektor Wyżycki we czwartek przyjechał z Radomia; z nim byliśmy na plebanii w biskupa w piątek. Biskup przywitał mnie mianem: warszawianina.

W piątek w kościele pan hrabia zaprosił mnie na niedzielę na obiad. Byłem więc tam 21 *września*. Tegoż dnia Wyżycki wyjechał, ustanowiwszy komitet dla ukończenia interesu z Biblioteką. W komitecie tym prócz Reichardta byli: X. Szpaderski, Zieliński i ja.

17 *września* skończyłem „Życie kardynała Fryderyka“ i posłałem na ręce Ojca do Wójcickiego.

29 *września* jeździłem z Goreckim do Opoczna po pensję.

8 *października*. Odebrałem pakiety z Warszawy, *Przegląd Naukowy* i pełno listów. Byłem zaraz u Szpaderskiego i czytałem mu list od Au. Wilkońskiego. Od kanonika dostałem trzy stare dokumenty do dziejów kościoła w Końskich.—Reszty nie dał—dyabeł zazdrosny.

Od 8 do 13 opisywałem kościół w Końskich dla Radziszewskiego do „Kalendarzyka politycznego“³⁾.

18 *października*, u panny Rewolińskiej⁴⁾. Ułożyłem się z nią o lekcye, które mam dawać w jej szkole. Szpaderski o to prosił. Raz tylko będą chodził w sobotę.

23 *października*. Pierwsza lekcya u Rewolińskiej.

29 *października*. U Rewolińskiego na pożegnaniu. Brat to panny R., który w tym roku skończył medycynę w Petersburgu, a od 10 dni bawił w Końskich. Przez niego posłałem do Warszawy pieniądze i rysunki kościoła, który wyrysował Dylewski. Chmielewski wrócił z Warszawy 22 *paźdz.* i przywiózł mi listy od rodziców...

¹⁾ Z wymienionych nauczycieli: X. Józef Szpaderski znany, pisarz teologiczny, późniejszy prof Akademii duch. w Warszawie, Stan. Dylewski dobry rysownik, niezły portrecista

²⁾ Córka Jana, majora wojsk polskich z 1831 r. późniejsza żona autora Pamiętnika.

³⁾ Artykuł ten drukowany w Kal. Polit. na r. 1848.

⁴⁾ Rewolińska miała pensjonat w Końskich. Brat jej, Teofil, o którym wzmianka poniżej, był później w Radomiu znanym lekarzem i kolekcjonistą medalów polskich.

14 listopada—niedziela. We środę (10) zacząłem pisać „Dzieje“, Zbierałem się długo. Od początku tu mego przyjazdu prosiła mnie o to dzieło pani Skimborowiczowa. Niby to miała być praca dla młodzieży, ale zdaje się obszerniejsze będą ramy. Wstęp zaczęty był tylko. Skończyłem pierwszy rozdział wstępu onegdaj¹⁾.

13 grudnia wyjechałem z Końskich do Warszawy na święta.

17 grudnia. W piątek rano u Wilkońskiego Wybierał się na przeciw mnie do Skierniewic.—Po obiedzie u Wójcickiego.

18 grudnia. W sobotę rano u Augusta Wilkońskiego, wieczorem u Skimborowicza. Byli: mój ojciec, Jastrzębowski, Szulc, ojciec Kraszewskiego, księżyca Wyszyński i Pleszowski, Karol Sobolewski, panna kanoniczka Zabłocka, panna Janiszewska, panna Dębska, Walentyna Trojanowska, Prusiecka i t. d., Chałubiński²⁾.

19 grudnia w niedzielę na obiedzie u Wilkońskich. Potem Au. Wilk. wprowadził mnie do Pruszkowej. Był tam Au. Wil. z żoną, Włodek Wolski razem z nami, potem nadjechali Wójcicy od Maciejowskich. Poznałem tam Oskara Kolberga.

20 grudnia. W poniedziałek wieczorem u Niny Łuszczewskiej pierwszy raz. Wprowadził mnie Au. Wil. Kiedyśmy przyszli tam koło 10-tej, był do tego czasu Jastrzębowski i Szabrański. Potem przybywali: wojewoda Nakwaski z żoną, Tyszyński, Włodek Wolski, Lenartowicz, Lisowski, Emilian Rzewuski, Fel. Zieliński, Adam Kosiński, Chałubiński, panny Prusiecka i Trojanowska, Kurtz żonaty, Lewocki młody, pani Suffczyńska, Leo młody i t. d. Au. Wil. zaprezentował mnie po prostu, wymieniając imię i nazwisko. A potem dodał:—że ma odemnie artykuł, który, jeżeli cenzura przepuści, unieśmiertelni jego *Dzwon*. A pani Nina dodała, że pewno w moim artykule rozebrany historyk, którego ona bardzo ceni, p. Szulc. Pierwszy raz tego wieczoru mówiłem z Tyszyńskim. Dotąd znaliśmy się tylko z widzenia. Pani Nakwaska, dumna baba W takim gronie Au. Wil. musi być wilkiem, oszytym w skórę barania. Powiadają, że tu takąż rolę gra i Skimbor.

Lenartowicz czytał dwa ustępy: Rzym i Grecya ze swego poematu „Srebrny Śpiew“. Cudne, przecudne!

22 grudnia we środę w Bibliotece Warsz. Nadzwyczaj upadło to pismo. Czytali Życie JW. Roztworowskiego, odpowiedź jakąś Maciejowskiego Szulcowi i recenzję matematyki Liebelta. Widziałem się pierwszy raz wtedy z Łyszkowskim i Przyszańskim.

23 grudnia we czwartek wieczorem u Wójcickich. Byli Wilkońscy, Pruszkowa, Szymanowski, Lisowski, Kolberg. Opowiadał mi Wójcicki o porwaniu króla 1771 — że to całkiem zmyślona intryga.

1) „Dziejów“ tych autor pamiętnika nie dokończył. W papierach po nim pozostało tylko parę arkuszy wstępu, napisanego gorąco z podkładem filozoficzno-poetycznym. Wstępu tego cenzura nie puściła, a więc autor przerwał robotę

2) Wojciech Jastrzębowski, znany przyrodnik. Szulc Dominik, historyk. Ks. Józef Wyszyński—jedna z najpiękniejszych postaci kleru polskiego, członek delegacji w r. 1861, wygnaniec w r. 1863. Karol Sobolewski naucz. szkoły pow. przy ulicy Królewskiej w Warszawie. Janiszewska, Prusiecka, Trojanowska literatki.

25 *grudnia* u wujenki i Au. Wi. Od niego chciałem do Skimborowiczu, ale zawiózł mnie do Ferdynanda Biesiekierskiego. Coraz więcej robię znajomości w Warszawie, coraz więcej jestem en vogue. Jak tu będzie wracać do Końskich? Ale mam nadzieję. Ożenię się z Kazią i wrócę.. Nadzieję powrotu robi mi Le Brun i Le Brunowa. Byłem u nich 19 i 21. Wieczorem 20 widziałem się z Lesznowskim. Wilkoński robi mi także nadzieje.

1848 rok.

15 *stycznia sobota*. Nie umiem już dobrze skleić powieści o dziejach pobytu mojego w Warszawie. W mojej pamięci zatarło się wiele wrażeń, bo z dnia na dzień nowe wypadki, nowe znajomości, nowe uczucia i spostrzeżenia. Trzeba było w locie notować to wszystko, a wtenczas powieść byłaby skończoną. Dziś — nie sposób.

Warszawa okropnie mnie znużyła. Nocy nie dospałem, dnia nie dosiedziałem. Ciągłe gdzieś indziej, ciągle gdzieś indziej. Wychodząc z domu np. do Wilkońskiego, nie byłem pewny, gdzie się obróć, gdzie przepędzę wieczór. Biorą mnie, pakują w dorożkę i wiozą. Ztąd nigdy tyle nie zrobiłem znajomości w Warszawie, co przez ten kilkotygodniowy w niej pobyt. Prawda, że się dawniej mało udzielał towarzystwu, że pracował dla literatury w ukryciu. Znużyła mnie więc Warszawa. Gdybym w niej ciągle mieszkał, znajomości by się porobiły, ale nie tak na raz wszystkie, nie tak gwałtownie. To włączenie się z wieczoru na wieczór, z wizyty na wizytę, męczyło mnie, zabijało energię duszy.

Książek nowych, nie znanych dla mnie, zobaczyłem w Warszawie ogromnie wiele, ale nie miałem czasu czytać. U nas w Końskich i o nich wieści nie było. Przejrzałem tylko Pamiętniki Kitowicza „O konfederacji Barskiej“, „Rozprawy“, tyżące się pierwotnych dziejów Polski przez S. (Kaczkowskiego), „Kronikę Lwowa“ p. Zubrzyckiego, dzieło Libelta o „Dziewicy Orleańskiej“. „Dziewica“ nie zrobiła na mnie wielkiego wrażenia. Więcej się spodziewałem po Libelcie. Prócz wstępu — nic tam niema. Postać „Dziewicy“ w cieniu. Niema ani artystycznego obrobienia, ani dziejowego, twórczego wykonania. Zresztą dzieło duchem swoim, celem, dążnością, bardzo znakomite.

Przeczytałem tylko „Wiadomość o Konfederacji Barskiej“ Kaczkowskiego i zrobiłem z niej wyciągi.

Widziałem także i czytałem piękne Wypisy Cegielskiego pod tytułem: „Nauka poezyi“. Teoryi nie czytałem, moją uwagę zwracały tylko same wypisy. Wiele tam rzeczy zagranicznych, u nas prawie nie znanych.

Za to nasłuchiałem się dużo o Poznaniu, o Mierosławskim o jego współobwinionych, o emigracyi, o usposobieniu Galicyi i rządu austriackiego dla Polaków, o naszym nowym kodeksie kar głównych i poprawczych. Czytałem mowy Lelewela w Brukselli i Mickiewicza, w której cieszy się, że sprawa nasza leży przed królem pruskim i światłem narodu niemieckiego. Widziałem i miałem w rękę, ale, niestety, nie miałem czasu czytać, bo to było już na samem wyjeździe, poemat Juljusza

Słowackiego „Król Duch“, nowo co wyszły. Zabawny spór toczył się o ten poemat. Wilkoński mówił, że to głupstwo, że nic tej poezji nie rozumie. Żona jego także nie wszystko rozumiała, ale poematowi przyznawała zalety. Włodzimierz Wolski mówił, że „Król Duch“ bez wartości. A Lenartowicz zwał się upierał za Słowackim. Mówił, że w poemacie myśl wielka, że poeta czasem ciemny, mistyczny, ale, że Towiańczyk, więc wierzy w przejście duszy do duszy a jego Her Armeńczyk właśnie z osoby przechodzi w osobę, to w Rytygiera się zmienia, to w Iwana Groźnego, to w..., a zawsze kocha orężem Polskę, orężem chce zmusić, żeby go Polska kochała. Wreszcie dziś dopiero pojął tę prawdę, że kochać trzeba uczuciem, nie przemocą. Zakończył Lenartowicz, że gdyby Wolski dwie, trzy strofy „Króla Ducha“ napisał z takim serdecznym przekonaniem, z taką myślą, już byłby wielkim poetą. Czemu tu wierzyć?

Dziwi mię przecież sąd Lenartowicza. O Słowackim zawsze odzywał się z przekąsem i z pewnym rodzajem politowania. Mówił dawniej, że z całej jego poezji, jedna rzecz ładna jest tylko, ten hymn piękny, drukowany gdzieś w pismach poznańskich, którego każda strofa kończy się wyrazami: „Smutno mi, Boże!“ A teraz ten sam Teofil wychwalał, wynosił Słowackiego za „Króla Ducha“, choć przyznawał, że ciemny, że trzeba go się domyślać. Wilkońska nie przystawała na obronę Lenartowicza. Ja się do sporu nie mieszałem, bom nawet nie widział poematu, a dopiero na wyjeździe mi go pokazano.

Ten spór toczył się u Wilkońskiego d. 4 stycznia (1848 r.) przed obiadem. Był to dzień imienin Chalubińskiego. Żeby kochanego doktora uczcić, dawał August Wilkoński obiad dla niego, który zarazem był i pożegnaniem dla mnie. Zaprosił w tym celu i mojego ojca. Prócz nas i Chaluby byli: Lenartowicz, Skimbor, były podpułkownik Hornowski, Kamionowski Wiktor, dobry chłopiec, którego dawno znałem z widzenia, Kaczkowski jakiś młody, Franke niemiec, który stoi u Wilkońskich, berlińczyk, zakuta głowa, Napoleona wróg, bo mu odmawia nawet osobistej odwagi, króla pruskiego przyjaciel i dopiero w Warszawie trochę republikanin. Ostatni przyszedł Włodzimierz Wolski...

Toczyła się jeszcze druga kłótnia przed obiadem o Dmuszewskiego. Lenartowicz i ja mówiliśmy, że artykuł Lesznowskiego w *Gazecie Warsz.* o tym popularnym wydawcy *Kuryera*, jest napisany pięknie. Skimbor rzucał się, że napisany źle, że obrachowany na efekt, że zawiera same puffy. Zgadaliśmy się na puffy, alem ja broniał przede wszystkim drugiej części artykułu, gdzie zdjęta jest doskonale biografia i charakterystyka *Kuryera*, jako pisemka bez treści i zółci, a jednak tak potrzebnego dla Warszawy, że się tęskni, kiedy go długo nie widać. Teofil broniał całego artykułu. zaczął więc Skimbor czytać. Przekonaliśmy się, że miał słuszność. Lesznowski pisał, że społeczeństwo, że ludzkość po Dmuszewskim w żalobie, że grobowiec jego wieńczy wawrzyn zasługi obywatelskiej. Wtedy śmieliśmy się wszyscy. Rozbieraliśmy jego życie. O aktorze pisał o nim Lesznowski jako o Talmie. A przecież to piekło i niebo.—Dmuszewski i Talma! Był to oryginał-samolub, który jednak zostanie w dziejach Warszawy. Miał swoje dziwactwa, które znał każdy w mieście, ale dla tego tylko popisywał się z nimi Dmuszewski, żeby ściągnąć na siebie wszystkich uwagę. Rozpowiadano tysiące tych dzi-

wactw, z których nie jedno przeszło w nałóg. Np. przed każdą latarnią się kłaniał, a gdy usłyszał wymówiony przez kogo wyraz *kawałek*, powtarzał zawsze cmokając ustami: *tiok!* Koledzy jego chcieli rozwiązać zagadkę, a Dmuszewski odsyłał ich do swojego testamentu, który po jego śmierci rzecz wyjaśni. To doprawdy blażeństwo! Wielki człowiek! Miałaby jego dzieciństwami zajmować się Warszawa i Polska?—A on jednak tak sądził w prostocie serca. Biedny!

Zastanawialiśmy się nad jego niby życiem obywatelskiem. Pokorny sługa władzy, co nie miał w sobie za grosz uczucia narodowego. Owe pochwały dla . . . , te wielkie litery w *Kuryerze* zawsze, kiedy pisał o . . . , o jego rodzinie, — to były obwiniające go punkta. Opowiadano, że w czasie rewolucyi obawiał się szubienicy, że się dlatego przed każdą latarnią kłaniał. Na każdą uroczystość . . . kantaty pisał i z temi popisywał się w teatrze. Kiedy zdobyto Warszawę, za rządów Krukowieckiego, Dmuszewski był pierwszy, co dom swój rzęsiście oświetlił i ozdobił, a w czasie boju, on jeden w niczem w *Kuryerze* swoim nie drasnął dumy późniejszych zwycięzców. Powiadają, że dobroczyнным był, a to dlatego, żeby wszyscy widzieli. Rozdawał piątki ubogim, ale każdą piątkę do góry podnosił, żeby była pamięć, że dał. Że świadczył wiele, to dlatego, mówią, że chciał wszelkimi sposobami dosłużyć się szlachectwa i krzyża. A . . . , któremu tak kładził, któremu dobre imię, imię obywatelskie niósł na ofiarę, nie dał mu ani szlachectwa, ani krzyża,—bo Dmuszewski był aktorem, występował na scenie.

Mówić o jego zasługach literackich? Toć to człowiek starej zupełnie daty, w którym ani iskry poezyi, ani cienia dowcipu, natchnienia. To pisarz formułkowy. I narobił też, przetłumaczył, poprzerabiał, podrukował sztuk wiele, sztuk ze stokilkadziesiąt, prawdziwie sztuk, bo komedye jego, melodramy, dramy, wodewile, najwłaściwiej rachować na sztuki.

Pokazało się z całego rozbioru życia Dmuszewskiego, że Lesznowski napisał kolosalne głupstwo nie do pojęcia. Całe życie kłócił się redaktor *Gazety* z redaktorem *Kuryera*. Szło o to, że jeden drugiemu psuł prenumeratę. Miałaby więcej czytelników *Gazeta*, gdyby nie *Kuryer*—miałby ich znowu *Kuryer* więcej, gdyby nie *Gazeta*. Ztąd zawiść, wieczna zawiść. A jednak Lesznowski pisze na początku swojego artykułu, że Dmuszewski miał powiedzieć przed śmiercią: „Mój przyjacielu, napisz mój nekrolog“.—To wszystko dla zamydlenia oczu, dla efektu, to puff. Charakterystyka *Kuryera* skreślona dobrze, — ale w tej charakterystyce znać już pióro Keniga. Wszystko, co w artykule dobre, jest Keniga, wszystko co puff, co głupstwo, pisał Lesznowski.

Skończyliśmy, że pamięć Dmuszewskiego nie powinna mieć sympatyj w narodzie. Tembardziej niema go czego płakać obywatelstwo, społeczeństwo i ludzkość.

Ze masa osób była na jego pogrzebie, to żaden dowód. Któż Dmuszewskiego nie znał w Warszawie? On popularny w dziejach naszej stolicy i zostanie w tych dziejach. Od lat 30 nie porzucał murów Warszawy, był żyjącem podaniem wszystkich osobliwości miasta, on wiedział wszystko, zapisywał wszystko; każdy fakt dotyczący Warszawy spóczesnej Dmuszewskiemu, zanotowany w jego *Kuryerku*. Że lecieli

wszyscy na jego pogrzeb, to przez ciekawość, a nie dlatego, żeby uczcić jego zasługi.

Zasługi położył tylko dla teatru. Założył towarzystwo wsparcia podupadłych artystów muzyki;—aktorów, kiedy biedni byli bez chleba, wspierał i radą i pieniędzmi, żywił ich na swoim stole, odziewał, przemyslał o ich losie.

Dwa pogrzeby chciałem widzieć serdecznie, bo na nich myślałem, że znajdę całą Warszawę, t. j. pogrzeb Lindego i Dmuszewskiego. Obadwaj w jednym półroczu pomarli. Widziałem żalobny orszak Lindego. Nie był tak liczny, jakem się spodziewał. Prócz tych, co byli z obowiązku, nikt nie szedł tam z uczucia dla oddania ostatniej przysługi sławnemu niegdyś autorowi „Słownika“. Literatury warszawskiej wcale nie było. Kiedym Wilkońskiego zachęcał, żeby zemną pojechał, odpowiedział: „Nie wart holdu ten głupiec“. Linde się więc przeżył. Słyszałem teraz za przyjazdem do Warszawy, że w testamencie napisał, że Niemcem był, a nie Polakiem. Widać rozumiał, że będziem się kłócić o niego jak o Kopernika! Szczęśliwy!

Na pogrzebie Dmuszewskiego nie byłem. Umarł na kilka dni przed przyjazdem moim. O tej śmierci dowiedziałem się już na kolei. W wagonie rozpowiadał nam o niej p. Stan. Majewski kupiec, sławny śniadaniami swojemi z Bednarskiej ulicy, który wracał koleją do Warszawy z Ząbkowic, gdzie na granicy nową na wielką skalę urządzał traktyernię.

Nie w literackiem kole Warszawy znalazłem dla Dmuszewskiego uwielbienie. Nabożeństwa ciągle, wspomnienia. *Kuryer* w dniu pogrzebu wyszedł z czarną obwódką. A wszędzie o nim tylko mówiono—o jego dziwactwach i testamencie. Vidal, który od lat siedmiu redagował *Kuryera*, miał nadal utrzymać tę redakcyę, ale z pensją 1200 rocznie z dochodów pisma. Jednak Wilkoński chwalił się, że rodzina zmarłego chciała na niego zdać redakcyę z 4,000 pensyi rocznej.

Dosyć o Dmuszewskim!..

Był jeszcze trzeci spór w dzień imienin Chałubińskiego. Teofil czytał świeżo wyszłą „Historyę Naturalną“ Jastrzębowskiego i mówił, że jest bez sensu¹⁾. Twierdzenie swoje popierał dowodami, bo czytał zaraz z książki ustępy. Dowolne poddziały i kategorie, nowe niezrozumiałe wyrazy. Ja znowu wzięłem stronę Teofila, bom świadkiem był, jak właśnie dnia poprzedniego (3 stycznia) Teofil toczył walkę zaciętą w tymże samym przedmiocie z Jastrzębowskiem u Niny. Mówiąc o rzeczach przyrodniczych z kolei, przyszedł Teofil do hipotez o utworzeniu się naszego świata. Jastrzębowski mówił, że są trzy hipotezy: Buffonowska, że ziemie i planety poodrywały się, poodskakiwały od słońca;—druga hipoteza, że ziemie i planety gdzieś z za świata wbiegły w nasz systemat, a przyciągnięte siłą słońca, krążą od wieków obok niego;—trzecia hipoteza, że słońce i cały jego systemat planetarny powstały razem. P. Jastrzębowski nieszczęśliwie zbijał pierwszą i drugą hipotezę, a do trzeciej przywiązywał wiele znaczenia, chciał dowieść, że

¹⁾ „Historya naturalna, zastosowana do potrzeb życia praktycznego i do rzeczy krajowych“ (Warszawa 1848).

tak było, a nie inaczej, jak to trzecia hipoteza podaje. Ależ dowody znowu nieszczęśliwe były i nieprzekonywające. Teofil tak go obsaczył zarzutami, że p. Jastrzębowski w żaden sposób wywikłać się nie umiał. Dyalektyka Teofila była potężna, niezłomną jak żelazo. W pomoc mu przyszedł Włodzimierz Kretkowski, którego wtedy pierwszy raz poznałem. Na placu tysiąc razy z obu stron był Humboldt i jego Kosmos. P. Sikorski, co to pisze o muzyce, wplątał się do rozmowy. Czasem i ja dorzuciłem słówko. Bój był olbrzymi, na śmierć. Dotknęliśmy „potrzeb“, o których nowe dzieła pisze Jastrzębowski¹⁾. Jeszcze więcej się zwikłał, jeszcze więcej był ciemny. On nas przekonywał, że tak jest, a nie inaczej, że ma dowody;—myśmy mu dowodzili, że ma same hipotezy, którym wierzy na oślep. Dotknęliśmy wreszcie osobistości. Jastrzębowski mówił nam, że potrzeba być człowiekiem fachu, specjalistą, żeby o tem sądzić. A myśmy go wciąż zamykali w coraz węższe kołko dyalektyką naszą, tak że się zupełnie zaplątał i nie znalazł wyjścia, aż przestał mówić, zapalać się, dowodzić tego, czego nie dowiódł.

Ja, który świadkiem byłem tej rozmowy u Niny, trzymałem stronę Teofila i na imieninach Chałubińskiego. Nie widziałem logiki ścisłego rozumowania. Śmieliśmy się więc z Teofilem nad jego nowym systematem, bośmy nie mieli wiary, żeby wyrozumował to wszystko p. Jastrzębowski, co napisał. Przyznawaliśmy mu wiele wiadomości, wiele zamiłowania do nauki, aleśmy pojąć nie mogli, żeby on coś potrafił zrobić dla nauki, żeby ją cokolwiek dalej posunął. I tu nam stanął w opozycji Skimbor. Mówił, że Jastrz. zjadł zęby na tem, o czem pisze—nie dowodził, żeby Jastrz. zrobił wiele dla nauki, ale nie odmawiał mu sądu i znajomości rzeczy. Wmieształ się w to Chałubiński i także bronil Jastrzębowskiego. Jego wyrazy, podziały, jakkolwiek niezrozumiałe dla nas, mają pewne swoje znaczenie w całym systemacie. Tylko trzeba całą książkę czytać, a nie z części sądzić o wszystkim. Rzecz dziwna i myśmy panu Jastrzębowskiemu nie odmawiali znajomości rzeczy. Owszem u Niny, myśmy się obaj z Teofilem cieszyli, że Systemat Jastrzębowskiego jest płodem polskiego umysłu. Spór się przeciągał,—zostaliśmy każdy przy swoim. Chałubiński wdaniem się swoim jednak polepszył w mniemaniu mojem sprawę profesora marymonckiego, a Skimbor nibyto obstawał za sprawiedliwością i bezstronnością i dziwił się wreszcie mnie, człowiekowi, jak mówił, i logiki i nauki, że trzymam stronę poety...

15 stycznia — kilka godzin później.

Jedną z ciekawości, którą teraz poznałem w Warszawie, jest pani Seweryna Pruszkowa, żona Tomasza, z domu Żochowska.

Majątku panna miała podobno prócz wiosek 300,000 złp. gotówki. Na te ulakomil się mąż jej, rozpoczął swaty i ożenił się.

Pożycie ich dziwne było. On skąpy i zręda nieznośny; ona, dziecko, bez żadnego przywiązania do męża. Skończyli po pruszkowsku, bo idą do rozwodu. Biskup Fijałkowski, kiedy sprawę rozwodową

1) W r. 1849 wyszła Jastrzębowskiego „Stychiologia... zastosowana do potrzeb życia czynnego i do rzeczy krajowych“ — a w r. 1851 „Mineralogia“ zastosowana do potrzeb ogólnych.

jakiegoś Prusaka na stół wnosił, powiedział o nich, że to wyjątkowo nieszczęśliwa na świecie rodzina. W istocie trzech braci i dwie rozdzone siostry żyją w rozwodzie.

Pani Seweryna jest żywa, energiczna i ma, zdaje się, dosyć zdolności. Ale poszedłszy za męża, była tylko nieostruganym dzieckiem. W Busku na wodach spotkała się kiedyś przed kilku laty z Cyprjanem Walewskim. Ten jej ciągle plótł o książkach, o literaturze. Pani Sewerynie zdawało się, że to jakiś geniusz, wielki człowiek. Przebudziła się w niej chęć do czytania i słuchała z ogniem Cyprjana. Wróciwszy do męża, korespondowała z nim. Cypryan ciągle jej dosyłał wiadomości o postępach w literaturze. Seweryna kupowała książki, czytała i kształciła się. Powoli, przez lat kilka poznała całą poezję polską, a wtedy oceniła męża—prostego hreczkosieja i skapca. Skończyło się rozejściem.

Dzisiaj pani Seweryna niema rozwodu, ale podobno chce łożyć na to pieniądze.

Osoba to niskiego wzrostu, nie nazbyt jednak, bez figury, bez ładnej twarzy, owszem rysy jej uderzają nieforemnością kształtów, ale żywego spojrzenia. Ma dzieci czworo. Dzieci te bawią u męża. Mąż jej z jej matką za pan brat przeciw córce i żonie. Ona siedzi sobie w Warszawie, kupuje moc książek, bo do 12,000 rocznie na to łoży, ma piękną bibliotekę, którą powoli sprowadza ze wsi. Zdaje się, że to emancypowana kobieta. Lubi nierzadko tańczyć i tańczy lekko, zgrabnie, cóż z tego? kiedy cała jej postać i twarz nie do tańca, bo nie tchnie urokiem poezji. Matka dzieciom, a kochać by jej się gwałtem chciało. Na twarzy widać namiętność. Dla dokończenia obrazu: ma lat 32—33, bo w czasie rewolucji dzieckiem była i dopiero wtedy oddawali ją rodzice na pensję do Warszawy.

W tym roku otwarła dopiero literackie salony — raz w tydzień w niedzielę. Nie wiele jeszcze u niej bywa osób, bo dopiero zaczyna. Przed wyjazdem знаła mnie z imienia przez Wilkońskiego, który jej czytał mój „Pogląd na postęp prac historycznych polskich“. Ja też prawie najpierwszy byłem u niej na salonach.

19 *grudnia* byłem u niej z wizytą wstępną. W piątek rano wyjechała do matki na wieś na wille. Ztąd w niedzielę 26 *grud.* w drugie święto nie było u niej wieczoru. Powróciła przed Nowym Rokiem i byliśmy u niej wszyscy 2 *stycznia* b. r. Wtedy zaprosiła nas na sobotę następującą na 9 *stycznia*, bo to były jej imieniny. Chciałem zaraz po Trzech Królach z Warszawy wyjechać, wstrzymałem się dla tych imienin. Prócz niedziel widywałem ją jednak co czwartku u Wójcickich.

Imieniny to huczne były, przyjęcie okazałe, wesołość rzadka. Wróciłem dopiero o 4 rano—a Wilkońscy o 6 nawet. Kiedym się z Pruszkową żegnał, dowiedziała się dopiero, że od chwili pewnej nie mieszkam w Warszawie.

Pani Prusakowa pokazywała mi wiele rzadkiej przychylności. Zdawało się, że jakby się we mnie durzyła; tyle uprzedzających grzeczności, tyle pochlebnych dla mnie słówek. Ale na imieninach swoich pokochała jeszcze i Thiemego. Młody to chłopak, rodem podobno z Końskich, który ukończył uniwersytet w Petersburgu i dziś pracuje w sądownictwie w Warszawie. Przystojny, dobrze ma w głowie, tańczy

z ogniem i życiem. Pani Pruszkowa nie wiedziała kogo z nas ma kochać: mnie, czy Thiemego. Za nim latała, za mną latała... To dziwnie, to bardzo dziwnie dla matki czworga dzieci, bez taktu, bez godności. Razem tańczyliśmy z Thiemem, razem wychodziliśmy. Wybiegała za nami do sieni, otulała, żebyśmy się nie zaziębili. Ciekawym jednak, kogo ona więcej z nas kocha?... Zdaje się, Thiemego. O niej też i o Thiemem z ust do ust latały dowcipki, dogryzki, słówka złośliwe...

Pani Pruszkowa czyta z ogniem poezye. Czuje myślą i sercem. Kiedy czyta, to i mimiką nadrabia. Zdradza usposobienie swoje. Wójcicki dawał jej podobno lekcye literatury polskiej. Przez Wójcickiego poznała się z Wilkońskimi i dopiero poszła po językach literackich. Napisała podobno parę powieści emancypowanych i oddała do „Albumu” Wójcickiemu. Wilkoński mówi, że te powieści, jak sądzi, nie będą bez wartości.

Pana Korzeniowskiego przedstawiono pani Sewerynie we czwartek (6 stycznia) u Wójcickich. Zaraz nazajutrz p. Korzeniowski był u niej z wizytą. Nie zastał. Żal mu zapewne, bo on się tak płatać lubi po arystokratycznych niby domach. Nie był więc p. Korzeniowski na imieninach pani Seweryny.

16 stycznia 1848. Jeszcze o Warszawie wspomnień kilka...

Parę słów o kobietach literatkach...

Nie teraz wprawdzie, bo dawniej troszkę, poznałem u Skimborowiczów pannę Zbyszewską. Teraz przyjrzałem się jej dobrze.

Jest to córka obywatelska z Lubelskiego, pana z Kurowa, podobno bardzo bogatego, i na ogromną stopę arystokraty. Panna ma lat ze 22 — 23, mocno czerwona, twarz bez wyrazu i nieładna. Ale zdumiewa jej odczytanie i nauka. O wszystkim rezonować będzie z zapalem, ze znajomością rzeczy. Raz ją tylko dawniej słyszałem u Skimborowiczów i postać jej rozpięzchnęła się z mojej pamięci. Mówiła coś o ekonomii politycznej wtenczas; w ustach jej imiona Saya, Szmida, Malthuza, jedne odbijały się o drugie, jak cienie migwały przed oczyma naszymi. Mówi coś, twierdzi, i bez zająknięcia, na potwierdzenie swoich dowodów, cytuje wyrazy Saya po francusku, Szmida po angielsku i cytuje wciąż długą całą stronicę i kartę nawet, a wyrazy jej się leją, leją potokiem, bez odpoczynku. Cudowna pamięć! Zna się na ekonomii politycznej, filozofii, teologii, rozprawia o dziejach, o matematyce, o naukach przyrodzonych, unosi się nad poezyą, muzyką, malarstwem, nic to jej nie kosztuje. Zwiedziła całą Europę — była wszędzie, widziała wszystko. Zna wszystkie uniwersytety niemieckie. To w Paryżu, to w Berlinie słuchała prelekcji Micheleta, Quineta, Schellinga... Bawiła długó w Rzymie, jeszcze za Grzegorza XVI, i tam poznała osobiście ojca Venture. Opowiadała nam teraz ciekawe rzeczy o tym znakomitym człowieku. Skreśliła nam całą charakterystykę jego — a myśmy podziwiali jej talent w opowiadaniu i jej rozległe stosunki.

Umyślnie jeździła do Heidelbergu, żeby poznać profesorów prawa Gerwinusa i innych...

Jednem słowem niktby nie uwierzył, że jest taka kobieta, panna, w świecie, gdyby jej nie widział.

Wracała teraz, kiedym był w Warszawie, z Berlina i tysiączne powieści przywoziła o procesie Poznańczyków w Berlinie. Żywemi ko-

lorami malowała wrażenie, jakie ten wypadek obudził w Niemczech całych, a zwłaszcza w młodzieńczej, żywej Nad-Renii.

Widziałem pannę Zbyszewską teraz u kanoniczki Zabłockiej. To także światła i dobra osoba. Znała mnie z imienia, ale poznaliśmy się teraz osobiście u Skimborowiczów 18 grudnia r. z. Dała mi wtedy do czytania „Wieczory pod Lipą“ przez Grzegorza z pod Raławic. Obiecywała mi dać z sobą do Końskich cały kurs prelekcyi Mickiewicza. W tym celu byłem u niej w przeddzień mojego wyjazdu z Warszawy, w niedzielę 9 stycz. Zastałem tam już Zbyszewską, Skimborowiczów i panią Grotthuz. Nadeszły później panie Węglińska z Siedliszcza z Lubelskiego z dwiema córkami, ładnymi panienkami. Rozmowa naturalnie zwróciła się do rzeczy naszych. Mówiliśmy dużo o usposobieniu teraz przychylnem dla sprawy narodowej chłopów galicyjskich. Węglińska podawała wiadomości ze Lwowa, Zbyszewską z Poznania i Berlina.

Słowo Zbyszewskiej jest niezmiernie żywe,—tam wyraz goni wyraz. Nieznośne tylko paplanie francuszczyzną. Ona nie wytrzyma, ani po polsku mówić, ani po francusku; parę słów tak, parę inaczej,— a wszystko idzie jak z pytła, jak na kołowrocie. I w tem dziwny jej talent; kto inny choćby chciał, niepotrafiłby tak doskonale, tak za jednym oddechem, w rozmowie swojej dwa języki zlewać w jeden. Zdumiewa ta kobieta!

Była mowa potem o przedsięwzięciu Merzbacha wydawania pisma jakiegoś w guście *Pfennig-Magazin*. vel *Przyjaciela Ludu*. Chce Merzbach artykułów tylko, bo ma wiele rycin. Chce, żeby pismo to miało wartość literacką. Ale jakże może mieć tę wartość literacką, kiedy artykuły mają być dorabiane do rycin? Żeby temu zapobiedz, wzywa autorów wszystkich gałęzi piśmiennictwa, żeby mu nadsyłali prace swoje, a on do obrobionych już rzeczy zakupi sztychy, sprowadzi ryciny. Szło tylko o wynalezienie stosownego tytułu dla pisma. Skimbor ma grać jakąś wielką rolę w tem przedsięwzięciu. Projektował tytuł: *Album salonowe* — nie chciał Merzbach, bo takie Album, gdzie wychodzi za granicą. Wybrał tytuł nierównie dziwniejszy: „*Świat i ludzie*“. Wszyscyśmy wysmiali ten tytuł, a najwięcej Zbyszewska, bo to coś wielkiego *Świat i ludzie*, to coś filozofią trać. Nikt nie pomyśli, żeby w piśmie z podobnym tytułem były opisy starych zamków polskich, zwierząt, biografie ludzi i rzeczy z historii naturalnej.

Proponowałem *Illustracye*, ale Skimbor powiedział, że to wyraz nie polski. *Album* więc jest to wyraz polski?

Podalem na sąd moich słuchaczów, żartem, dwa jeszcze tytuły,— obadwa odrzucono ze śmiechem. A doprawdy były oryginalne. Jeden: „*I to i owo*“— drugi: „*Ni w pięć ni w dziewięć!*“

Tytułu nie mają, a już ogłosili w *Przeglądzie* publikację. To doprawdy ciekawe.

. 1).

1) Na tem się kończą notatki z pierwszej wycieczki do Warszawy. Wkrótce, bo już 5 maja, zapisuje autor wspomnienia z drugiego pobytu w Warszawie (w kwietniu 1848) na święta wielkanocne. Do tej drugiej wycieczki odnoszą się więc dalsze ustępy „Dziennika“.

17 kwietnia. Po obiedzie u św. Krzyża byłem na pogrzebie księdza Skolimowskiego ¹⁾. Miał piękne kazanie X. Topolski; żalowałem, że nie był na Powązkach, — bo tam miał także ładną mowę ksiądz Prosper kapucyn. Odprowadziłem tylko ciało z Muchlińskim do Biełańskiej ulicy ²⁾, Muchliński poszedł w swoją stronę, a ja w swoją, do Wójcickiego po nowiny.

18 kwietnia o 3 po południu byłem u Skimbora; — tutaj zastałem pannę Żmichowską.

19 kwietnia odwiedziłem Wilkońskich.

21 kwietnia chodziłem po grobach ze Skimborem. Widziałem się ze Sz wajnicem ³⁾.

Sobota. Co do literatury — znalazłem wielką stagnację. — W cenzurze niema nic — czytają tylko gazety i maż. Na artykuły i dzieła historyczne wyraża kłótwę. I nikt też nie podaje nic, — każdy czeka. W księgarniach, w których dziennie po 400 złp. było wpływu, teraz 40 gr. za ledwie. Zwiedziłem nową księgarnię wprost Bernardynów, kolegi mojego szkolnego, Bernsteina. Skarżył się jak i inni. Miał masę rysunków i portretów znakomitości społecznych naszego wieku i ostatnich lat XVIII stulecia. Na te portrety miał nadzwyczajny odbyt. W ciągu tygodni kilku rozkupiono wszystkie wizerunki Lamartin'a, Ledru Rollin'a, Dupont del'Enr'a, Garnier-Pages'a. Zresztą nic — cichość i stagnacja.

Wójcicki żałuje, że się niewczas porwał ze swoim *Album* — bo pewno nakład mu się nie wróci. Dał mi tom I-szy, kiedym był u niego na pożegnanie w niedzielę 30 kwietnia. Mego „Fryderyka“ tam niema. Trzy razy go gładził, przerabiał dla cenzury — na nic. Toż samo robił Wilkoński z *Poglądem na postęp prac historycznych polskich*, który mu jeszcze w listopadzie r. z. posłałem do „Dzwonu“. „Pogląd“ po trzeciej przeróbce przez cenzurę odrzucony. Byłby Wilkoński poszedł na udry, byłby skarżył cenzorów Jeneralowi, gdyby to nie moja była robota. Ztąd „Dzwon“ się opóźnił, — bo mój „Pogląd“ chciał dać Au. Wilkoński na zaczęcie „dzielne“, jak powiada.

Wójcickiemu przywiozłem do 2-go tomu *Albumu* powieść *Księżniczka Teresa* ⁴⁾. Skimborowi dałem do Przeglądu: „O powieściach historycznych polskich p. Ad. Am. Kosińskiego“.

Na posiedzeniu *Biblioteki W arsz.*, byłem we środę 26 kwietnia. Był u mnie Berger i na poprzednią środę zapraszał (19-go). Widziałem się tutaj z Szabrańskim, Wagą, Przyszańskim, Sierocińskim, Lipińskim, Kurzem, Leonem Łubieńskim i t. d. Gliszczyński czytał odpowiedź Maciejowskiego Tyszyńskiemu na recenzję *Pierwotnych dziejów polskich*, — a Waga, Mitkiewicza monografię złotą. Berger dał mi cztery zeszyty Biblioteki z r. b., bo redakcyja upoważniła go do tego. Arty-

¹⁾ Rafał Skolimowski prof. uniwer. warsz. słynny matematyk, filantrop i asceta. Życiorys jego napisał ks. Wacław kapucyn (Nowakowski).

²⁾ Znaný orwentalista zmarły w r. 1877.

³⁾ Hipolit Skimborowicz red. *Przeglądu naukowego*. Jan Sz wajnic prof. kursów prawnych, autor 3 tomowej historii państwa rzymskiego.

⁴⁾ „Księżniczka Teresa“ (Czartoryska) powiastka historyczna, drukowana była później w *Gazecie Warszawskiej*.

kuł mój dany Bibliotece: *Kronika kościoła Dominikanów Obserwatorów*, może przejdzie. P. Dubrowski¹⁾ ciągle ze mnie nie kontent.

Widziałem się prócz tego z Sobieszczańskim, Baranowskim, adjunktem obserwatorium, Kenigiem, Lewestamem, Korzeniowskim, Lesznowskim, Wolskim Włodzimierzem. Serdecznie widzieć bym się chciał z Teofilem Lenartowiczem, ale wyjechał gdzieś do rodziny na święta.

3 czerwca. Skończyliśmy pracę — bo od 5 czerwca zaczęły się egzamina w szkole, podług nowej reformy. Ale ojciec Kazi, z którym się widywałem co wtorek, bo na targi ze zbożem przyjeżdżał, wziął mnie z sobą do Żarnowa.

Bawiłem tedy teraz w Żarnowie cały tydzień—od dnia 7 czerwca do 15-go we środę.

Cały tydzień, — to morze uciechy!

Jeździliśmy, zaraz nazajutrz, we środę, na połów ryb i raków do młyna Czarska, należącego do dóbr Kantoryi Sandomierskiej. Młyn leży nad rzeczką Czarną. Byłem ja, ojciec Kazi, Władzio²⁾ i Szulc. Jedzie się bardzo przyjemną okolicą, przez wieś Pilchowice i Zdyszewice. Połów był nieszczęśliwy—aleśmy się wykapali za to.

W niedzielę, t. j. w pierwsze Święto Zielone, jeździliśmy do Miedzierz. Jest to wieś kościelna, o 3 dobre mile od Żarnowa. Mieszkają tam znajomi Zapałowskich, ale myśmy się wybrali w gościnę do księdza Barabasa, proboszcza w Miedzierz. Był on kiedyś wikarym w Żarnowie, potem plebanem w Sulejowie. Ma przy sobie matkę i siostrę, pannę Teklę, zachwaloną piękność, w której się kochał kiedyś cały Żarnów.

Pół drogi mieliśmy szosę fabryczną, którą w dobrach swoich zbudował gorliwy obywatel, p. Bocheński. Cała ta strona, to jego dobra. Z Małachowszczyzną on tylko prawie jeden graniczy, a kto wie, czy jego ziemie nie obszerniejsze jeszcze od dóbr p. wojewody. Śliczna droga i śliczna okolica.

Kiedyśmy wyjeżdżali z lasu na szosę, przed Cieklińskim, zobaczyliśmy piękny, z kamienia, pomnik biały, zaraz przy drodze. Na szerokiej podstawie wspierał się słup, a na wierzchu słupa krzyż, zbawienia godło. Ta religijna pamiątka postawiona była na cześć, na podziękowanie Bogu, za podjęte i szczęśliwie ukończone prace około dróg bitych. Były tam napisy ze wszystkich czterech stron słupa.

P. Bocheński w swoich dobrach pozakładał ogromne fabryki żelazne. Utrzymuje więc on tysiące rąk, żywi kilkadziesiąt rodzin swoich oficjalistów. Wiele łoży na upiększenie okolicy, na ulepszenie gospodarstwa. Teraz stoi na czele komitetu obywateli do zbudowania szosy

¹⁾ Cenzor.

²⁾ Władysław Zapałowski, brat „Kazi“, później ziemianin sandomierski, wywieziony za udział w r. 1863, jest autorem Pamiętnika z tych czasów, drukowanego częściowo w tygodnikach warszawskich, „Wędrowek po kraju“ drukowanych w Tyg. Ill. i Ziarnie, oraz licznych artykułów w kwestyach społecznych.

od strony Piotrkowa przez Żarnów i jego Rudę¹⁾ do Kielc. Byłaby to wielka dogodność dla podróżujących w tej stronie pięknej, ale kamienistej i twardej. Do tego komitetu zapraszał i ojca Kazi. Byłby może i ojciec należał, ale p. Bocheński napomknął nieszczęśliwie, że za udział we wspólnej pracy, może p. Zapałowski dostać krzyż Podziękował więc proszony za świetne nadzieje, które go czekały i za honor zasiadania w komitecie. Bocheński, żeby mu dokuczyć, kazał mu za szarwark murować w gminie żarnowskiej dwa osadne mosty.

Stolica p. Bocheńskiego w Rudzie, gdzie największe ma fabryki. Wody dokoła, młyny, domki schludne, murowane, nadają tej wiosce postać malutkiego, ale porządnego miasteczka. Teraz wznosi on tam piękną, murowaną kaplicę, która będzie ozdobą miejsca. Parafia Rudy należy do wsi Lipie, o dobre pół mili odległej, tam jest kościół. Ale p. Bocheński chciał, żeby jego robotnicy nie mieli i pod względem religijnym trudności około swojego sumienia. I w Miedzierz, która do dóbr jego należy, jest kościół, założony za Sobieskiego jeszcze, filia radoszyckiej fary. Przy niej to właśnie jest ksiądz Barabasza. Tę „córkę“ zmienia teraz p. Bocheński na kościół parafialny, bo parafia już *de facto* istnieje tutaj oddawna — i chce murować kościół, dotychczas drewniany. Kroki u władzy duchownej już rozpoczęte.

Syn jeden p. Bocheńskiego podróżuje teraz po Włoszech. Był w tym roku w Rzymie, pisuje listy. O tych listach dowiadujemy się ze wszech stron. Na wielkanoc widział obrządki rzymskie i Piusa IX. Tchnie też zapalem dla dzisiejszego papieża, jak Polska, jak chrześcijaństwo, jak świat cały.

P. Bocheński z niczego wyrósł — a nie jest skapcem, jest obywatelem, jakiego żądać. Był on w wojsku polskim, za Księstwa Warszawskiego, żołnierzem podobno. Ożenił się potem z jakąś kuzynką p. Lubowidzkiego, w niedawnych czasach prezesa Banku. Po śmierci jednej, wziął drugą Lubowidzką, z którą dziś żyje. Tu cała tajemnica jego potęgi. Przed rewolucją jeszcze pamiętają go, że był niskim urzędnikiem, sekretarzem Obwodu. Teraz to magnat, jeden z pierwszych magnatów kraju. Niejedna z Banku za p. Lubowidzkiego skradziona fortuna, miała się u niego zawieruszyć. Opowiadają przecie, że p. prezes Banku w dobrach swoich nawet stajnie miał murowane, a posadzkę w nich froterowaną.

. My sami w Warszawie widzieliśmy, że p. Nalepiński, jeden z najniższych urzędników bankowych wygrał (?) na loteryi 900,000 i kupił dom Dobrowolskiego wielki na ulicy Zakroczymskiej, w którym się mieścił Instytut Żoliborski, wypędzony z gmachów własnych. Widzieliśmy, jaki drugi, zdaje się Kruszewski, woźny bankowy, paradował kareta i kupił dom od Nowego miasta i Freta ulicy. Dom ten odświeżył, a wewnątrz przerobił go na pałac. Dywany zwiększały się nawet po schodach, a obicia po ścianach. Pani Kruszewska chorowała na spazmy i migreny — kłut ją perkalik, chodziła więc w aksamitach i atlasach, kiedy dawniej koszuli nie było na grzbiecie!

Z tego źródła popłynęła i potęga p. Bocheńskiego — tak mówią

¹⁾ Ruda Maleniecka.

złe języki — może w tem nie cała prawda, ale zawsze wielka część prawdy.

Taki wyskoczek z tłumy, jak p. Bocheński, niema jednak wad dobrokiewiczów. Widzieliśmy go zawsze i wszędzie prawdziwym obywatelem kraju. Nie ma on dumy dla drugich, ma tylko dumę dla swoich oficyalistów. Najmniejsza rzecz, uchybienie w służbie, w porządku, zaraz dymisyja bez apelacyi. Nieraz postąpi porywczo, zapomni się, postanowi. A potem, przekona się inaczej, łagodzi wyrok, ale go nie cofnie, nie zniszczy. Między jego oficyalistami wielu jest oficerów polskich, bezczynnych po wojnie 1831 roku.

Miedziera, do której przyjechaliśmy długim, miłowym może, pięknym lasem, po czarnej szosie, bo żuźłami żelaznemi wybrukowanej, ma także śliczne położenie. Jest to wielka osada, albo raczej trzy osady, jedna obok drugiej, powiązane, połączone jakby łańcuchem.

W Malańcu jest staw rozległy i piec wielki. W Miedzierzy kościół. Szosa główna, trakt krakowski, zaraz przy samym lesie, przecina szosę fabryczną Bocheńskiego. Na szosie krakowskiej jest Sielpia, wieś z fabrykami żelaznemi, własność rządu. Wyjechawszy z lasu, widzi się, w dolinie nad wodą, w pewnej odległości, całe trzy osady — na lewo daleko Sielpia, kościół skryty za drzewami.

Z pewnym rodzajem radości jechałem przez te trzy osady, — tyle to piękne miejsce posiada wdzięku i rozkoszy.

Stanęliśmy przed samą sumą. Kościółek stary, niepozorny. Z duch był okropny, — ledwie oddychał. W innem miejscu będzie opis kościołka, tu tylko powiem o ludziach dla pamięci. Przed samym obiadem przyjechali oboje Wołscy z Końskich, — nadjechali i Łyszkiewiczowie, z Sielpi nadszedł później i p. Hołowiecki. Łyszkiewicz, Hołowiecki i ojciec Kazi to oficerowie jednego pułku, — a wszystko zuchy. Łyszkiewicz w ostatnich bojach doszedł stopnia pułkownika, bo wszędzie był pierwszy. Bardzom kontent, żem go poznał. Wszyscy z 2-go pułku piechoty liniowej. Łyszkiewicz, w rządowej służbie, jest jakimś dozorcą fabryk w Sielpi, bierze 1800 złp pensyi. Hołowiecki służy Bocheńskiemu...

Później już, nad wieczorem, zbliżyliśmy się, ja z Łyszkiewiczem. Mówiliśmy o tem, czem serce pełne, o czem mówią wszyscy. Rozstając się ze mną, mówił, wskazując na serce: — Zobaczymy się niedługo, w czasach lepszych, — tymczasem tu zostaniesz.

Musieliśmy wieczorem i do Hołowińskich wstąpić. Ich poznałem jeszcze przedtem w Żarnowie. Mieszkają ślicznie — niedługo jadą do Malańca, translokowani przez p. Bocheńskiego

Nadzwyczaj miła była dla mnie ta podróż. Wróciliśmy do Żarnowa na Maleniec i Rudę o 1-szej w nocy. Załowałem, żem w Rudzie wstąpić nie mógł do Antosia Kryszki, doktora pana Bocheńskiego, z Dorpatu, bardzo poczciwego chłopca...¹⁾.

.²⁾.

¹⁾ D-r Antoni Kryszka, późniejszy profesor Szkoły Głównej i Uniwersytetu, dochował przyjaźni autorowi „Pamiętnika“ aż do końca życia. Leczył go wraz z Chałubińskim, w przedśmiertelnéj chorobie.

²⁾ Tu wyjątek z trzeciej wycieczki do Warszawy.

3 września niedziela. Wójcickiemu dałem na Wielkanoc jeszcze „Księżniczkę Teresę“, powieść z dziejów Błękitnego pałacu w Warszawie. Wynosi ją pod obłoki, chwali, że talent, że w niej twórczość, nowy sposób obrabiania wypadków dziejowych, ale drukować jej nie może dla cenzury. Zdaje się, że „Teresę“ wydrukuję w *Athenium*, prosiłem o to Wójcickiego. Gotuje on do druku 2-gi tom *Albumu literackiego*. Ma być w nim księga I z życia kard. Radziwiłła: „Dziecko jeszcze, a już biskup“. Fryderyka odebrałem. Fryderyk razem z księciem Janem Litewskim, drukowanym w *Dzwonie*, z Karolem Ferdynandem i Janem Olbrachtem, synem Zygmunta III, przepisany tu w Końskich, będzie stanowił część dzieła pod tytułem: „Królewicze biskupi“. Wójcicki mnie gwałtem popycha, żebym w świat z dziełem większem wystąpił. Otóż „Królewicze biskupi“—będzie to pierwszy występ. Pospłę do Wilna. Wójcicki mi to ułatwi i sprzeda rękopis. Robi mi nadzieję p. Kaz. Władysław, że za tą pierwszą książką księgarze zlatywać się będą do mnie i kupować to, czego jeszcze nie zrobiłem nawet. Radził mi na pierwszy raz pozbiierać moje rozprawki, po pismach czasowych umieszczane i zebrać je w jedną całość, dopełnić tem, co cenzura wymazała i posłać do Wilna z tomy, z przydatkiem prac nowych i wydrukować p. t. *Prace historyczne*. Ale ja wolałem „Królewiczów“ w świat puścić—za nimi dopiero pójdą *Prace*¹⁾.

W *Bibliotece* tylko dwa razy po godzinie byłem. Od czasów nieśczęśliwej Heleny — wszystko tam dla mnie idzie uporem, nie, żeby nie chcieli rzeczy moich drukować, ale że się boją, że się ociągają.

Wypadły w czasie mego pobytu imieniny pani Łuszczewskiej. Dzień to największy na jej salonach. Nie byłem przecież u Niny. Raz ją tylko widziałem zdaleka w Saskim Ogrodzie. Szła pomiędzy Szulcem a Kosińskim. Na samym odjeździe przysłał mi Skimbor korektę mego artykułu o „Romansach historycznych Kosińskiego“. Żałowałem, że nie miałem czasu poprawić do druku,—wyjdzie pewnie z błędami. Pierwszy to będzie cios, drukiem p. Kosińskiemu zadany. Bezcelny człowiek, fałszuje dzieje, — a zarzuca innym, że fałszują.

Wilkoński zawsze lata, kręci się. Ciągłe zajęty, ale dyabeł wie czem... Żona jego ofiarowała mi nową powieść swoją: „Tak się zdarza“. Nieznośne, nieznośne! Sikorski w *Bibliotece* napisał o tej powieści słów kilka bardzo na miejscu. Pani Wilkońska oburzyła się na niesłuszną, jak mówi, recenzję, i dlatego prosiła mnie, żebym w *Bibliotece*, albo w *Przeglądzie*, swoją recenzję pomieścił. Ale potrafiłem dość zręcznie wywinać się z tego kłopotu, bo podług mnie Sikorski jeszcze był zbyt delikatny. Tom pierwszy powieści przeczytałem z wielkimi opuszczeniami, na drugi spojrzeć nie mogłem, tak mi się zrobiło ckliwo, — tak tam mało sztuki i artystycznego pojęcia, tak mało życia i kolorytu.

Wogóle znudziłem się w Warszawie. Nie miałem zajęcia, bo tam dom miałem i w Końskich dom miałem. Chodzić z sobą nie umiem, i do Warszawy nie wróciłem, jakem sobie tego życzył gorąco. Tęsknię do Warszawy, żeby w niej znów stale zamieszkać. Nawet ga-

¹⁾ „Królewicze biskupi“ wyszli w r 1851 nakładem Orgelbranda. Dedykował ich autor „ojcu i dobroczyńcy mojemu“.

zety mnie znudziły. Codzień od 4 do 6 popołudniu przesiadałem u Beelego i przewracałem ogromne kolumny francuskie i niemieckie. Nic nowego, nic dla serca. I chorowałem nawet z tej czczości i z tego braku zajęcia. Chorowałem, że umierały nadzieje nasze¹⁾. Napisałem tylko życie dwóch „Królewiczów biskupów“, synów Zygmunta szwedzkiego — nic więcej...

A jednak płakałem, kiedy rzuciłem Warszawę, kiedy żegnałem się z matką, całował Ojca ręce. Teraz myśl moja cała u Ojca. On tu niedługo będzie...

Ps. Końcowa część Dziennika J. Bartoszewicza poświęcona jest wyłącznie sprawom serca; na ostatnich jej kartkach znajdują się kopje listów, jakie wysyłał, zapraszając na swój ślub z Kazimierą Zapalowską, który się odbył w starodawnej duninowskiej świątyni w Żarnowie, d. 17 lutego 1849 r. Nowożeńcy zamieszkali w Końskich. Jednocześnie poczyniono nowe starania o przeniesienie autora Pamiętnika z powrotem do Warszawy. W papierach po jego ojcu Adamie, znajduje się brulion podania, w którym uprasza Jaśnie Wielmożnego Pana (zapewne kuratora Okuniewa), „aby syn jego Juljan, dotąd nauczyciel Szkoły powiatowej w Końskich, mógł być przeniesiony z następującym rokiem szkolnym 1849/50 do Warszawy“. Prośbę swą motywuje tem, że „syn jego już ósmy rok zostaje w służbie bez żadnego awansu, a dwa lata spędził na prowincyi w nędznem i małym miasteczku, gdzie jest pozbawiony wszelkich środków i pomocy do doskonalenia się w swym zawodzie“ — przeniesiony do Warszawy będzie mógł być „pomocą i wsparciem dla młodszego swego rodzeństwa“. Proszący powołuje się wreszcie na swoje „przeszło trzydziestoletnie zasługi“ w zawodzie nauczycielskim.

Podanie to, wniesione 20 lipca 1849 r., poparły starania osób wpływowych, dzięki którym autor pamiętnika po dwuletniem „wygnaniu“ powrócił do Warszawy. Nie przywrócono go jednak na dawne stanowisko w gimnazyum gubernialnem, ale zaliczono do nauczycieli 3 szkoły powiatowej, umieszczonej „na krańcu“ Leszna. „Oślawiona“ ta szkoła (jak się wyrażają Kartki z pamiętnika Alkara str. 5) została „pod zarządem nieludzkiego, w r. 1863 zamordowanego, członka policji tajnej, Felknera“.

Dziennika już dalej nie prowadził. Nie pozwalały mu na to: zajęcia nauczycielskie, zabiegi około zdobycia kawałka chleba, na który skromna pensya nie wystarczała, wreszcie wyężona, olbrzymia praca naukowa, do której wkrótce przybyły i obowiązki redaktorskie z chwilą kiedy Henryk Rzewuski powołał go do redakcyi założonego przez siebie *Dziennika Warszawskiego*.

Dopiero w latach 1861—1862 zabrał się znów do pisania Dziennika. Pamiętam go dobrze, ten gruby zeszyt w brązowej okładce, ale co się z nim stało, nie wiem.

¹⁾ Słowa te odnoszą się do zawodów, jakie rok 1848 przyniósł naszemu społeczeństwu.

Posiadam natomiast trzeci pamiętnik mojego ojca, zaczęty d. 3 lutego 1869 w chwili, kiedy mu wręczono „uwolnienie od służby“. Należała mu się wówczas „z urzędu“, jako pierwszemu kustoszowi Biblioteki głównej, posada bibliotekarza po Estreicherze, powołanym do Krakowa. Nietylko jej nie otrzymał, ale „spadł z etatu“.

Ten trzeci pamiętnik kończy się 29 maja 1870 r. rozpaczliwym okrzykiem duszy zbolelej na widok ciosów, zadawanych naszemu społeczeństwu. Okrzyk ten wyrwał się z piersi człowieka, cierpiącego podwójnie: duszą i ciałem, było to bowiem w początkach choroby, która d. 5 listopada 1870 r. położyła kres życiu niestrudzonego pracownika i najgorętszego patrioty.

Należy mi jeszcze dodać, że ten trzeci pamiętnik jest całkiem odmienny od pierwszego. O sobie autor bardzo mało wspomina—zajmuje tylko sprawy ogólne, rzeczy literackie i naukowe, charakterystyka prądów, stosunków i ludzi. Były ważne powody, dla których wstrzymałem się z wydaniem tego Pamiętnika—obecnie pracuję nad przygotowaniem do druku tych jego ustępów, które już ogłoszone być mogą.

K. B.

BIBLIOTEKA INSTYTUTU HISTORICZNEGO
Uniwersytetu Warszawskiego